Nr. 21. **Lwów, dnia 10. lipca 1892 r.** **Wydawnictwa Rok XV.**

GONIEC i ISKRA

(Dziennik dla wszystkich.)

Czasopismo humorystyczno-satyryczno-literackie, illustrowane.

Numer pojedyńczy **20.** ct. w. a — Dodatek osobny dla nieprenumeratorów **10.** ct. w. a.

Goniec i Iskra wychodzi: 1., 10., i 20, każdego miesiąca, zaś **dodatek osobny** w każdym miesiacu. Nadto, prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują osobne *bezpłatne premia illustrowane.* Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z **osobnym dodatkiem** i **premiami** wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr.. półrocznie 4 złr.. rocznie 8 złr. **Dodatek osobny** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry“ kosztuje **10 ct. w. a.** W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych*, lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora.

Właściciel i naczelny redaktor: ***M. D Chamski***

Praktyczna rada.



— Mój zięciu, ty masz taki dobry gust, poradź mi, jaki fason sukni, jest dla mnie najstosowniejszy?

— Mnie się zdaje, że najlepszy byłby kostjum podróżny...

Od Wydawnictwa.

Prosimy usilnie szanownych abonentów, aby byli łaskawi odsełać zaległą i bieżącą prenumeratę. Pisywanie kart korespondencyjnych, lub listów o zaległe należytości, jest dla administracji uciążliwe i, co prawda, bardzo nieprzyjemne. Sądzimy też, że ociągania się w zaspakajaniu rachunków z wydawnictwem nie powinno mieć miejsca, choćby dlatego, że podobne zaległości narażają redakcję na stratę, a nie rzadko wyrządzają jej krzywdę. Praca każdej redakcji polskiej, praca nieraz ciężka i kłopotliwa, powinna znaleść poparcie nie we frazesach, lecz w czynach.

Wydawnictwo wymaga licznych i znacznych wydatków, nie odsełanie więc zaległych należytości, naraża nas stratę.

Wszelkie należytości pieniężne najdogodniej przesełać przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych pod adresem: ***Administracja „Gońca i Iskry“ we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.***

Od ręki.

= Trucizna lekarstwem.

Dr. Wolfgang Hunt z Toowoomba Hospital Queenland, w Ameryce, podaje ciekawą wiadomość o wypadku, który mu się przytrafił w praktyce lekarskiej. Przywieziono mu przed niedawnym czasem dziecko szesnastomiesięczne, które, będąc pozostawionem w trawie, zostało ukąszonem w paluszek przez żmiję jak najjadowitszego gatunku.

Dziecko oddano natychmiast w ręce lekarza, który odjął koniec palca, ranę przemył i zabandażował tak, że można było się spodziewać, iż dziecko żyć będzie. Niestety, jad widocznie dostał się do krwi, bo wkrótce dziecko dostało wymiotów, popadło w silną gorączkę i rączka puchnąć zaczęła. W tym stanie przywieziono je do szpitala. Tu doktór o którym mowa, oprócz ogólnych środków zastrzyknął dziecku pod skórę roztworu strychniny, jak wiadomo jednej z najsilniejszych trucizn. Prócz tego, przez krzyże, puścił prąd elektryczny. W piętnaście minut znów zastrzyknął strychniny, poczem nastąpiło tak widoczne polepszenie, że dalszych zastrzykiwań nie potrzeba było robić i dziecko niebawem zupełnie powróciło do zdrowia.

Doktor Hunt zastrzykiwaniem strychniny uratował po tem wiele osób, zagrożonych śmiercią przez ukąszenie żmii brunatnej

= Nie będzie już burzy na morzach.

Ministerjum marynarki w Paryżu zajmuje się obecnie na serio badaniem wynalazku barona Aleksandra, który sądzi, ze wzburzone dokoła okrętu fale morskie można uspokoić przez pokrycie ich siecią pływającą o okach bardzo gęstych. Sieć taka ma wywierać działanie podobne, jak olej. Na pomysł ten wpadł wynalazca przez dostrzeżenie, że wodorosty które obficie pokrywają pewne okolice Oceanu, uspokajają rozhukane fale morskie. Sieć p. Aleksandra naśladuje wiernie powierzchnią wodorostów. Byłby to jeden z najpożądańszych wynalazków.

= Zapasy złota w Europie.

Pod koniec 1890 r. wszystkie banki europejskie razem posiadały zapasów złota za sumę 6,293,000.000 marek. W roku 1891 spore zapasy tego drogocennego kruszcu nadpływały z południowej Ameryki, tudzież Chin, tak, iż pod koniec owego roku zapasy dosięgały do sumy 6,580,000,000 marek. Ponętny kąsek!

= Waga mózgu.

Profesor dr. Brül, w odczycie, który miał świeżo w Wiedniu o zdolnościach umysłowych i o prawach kobiety, stwierdził fakt, że mózg kobiecy, biorąc przeciętnie, nie jest lżejszy od

mezkiego. Bo i dlaczego miałoby być inaczej? Jeżeli waga i powaga władz umysłowych zależy od wagi mózgu, to ilużto mężczyzn musi posiadać o połowę mniej tej substancji, aniżeli najlekkomyślniejsza kobieta!

Weźmy naprzykład, najmodniejszy i najświeższy sport angielski, który naturalnie wymyślili mężczyzni, — sport zegarkowy. Sportsmeni tego rodzaju, ilu ich jest, — oddają swoje zegarki *starterowi*, ktory je wszystkie na jedną godzinę nastawia. Zegarek, który po pewnym czasie najdalej zajdzie, to jest najwięcej pospieszy. a wiec największy gałgan-zegarek, wygrywa; a zakłady, oczywiśaie, po angielsku bywają grube.

Albo, wszystkie zegarkie wkłada starter w wodę, a wygrywa ten, który w tej kąpieli najdłużej iść zdoła.

Czyż można sobie wyobrazić bezmyśniejszą zabawę i czy w ogóle istnienie mózgu w glowach sportsmenów zegarkowych jest przypuszczalne?...

Tymczasem w każdym niemal postępku kobiet tkwi jakaś myśl, jakaś racja — nawet w tej zmowie pokojówek amerykańskich w Chicago które na czas wystawy domagają się podwyższenia zasług. W prawdzie już i teraz przeciętna pokojówka w Chicago bierze cztery dolary tygodniowo, co stanowi .. ze strachem stawiamy tę cyfrę, z obawy, żeby która z pięknych naszych czytelniczek, na jej widok nie zemdlała, — co stanowi tedy *plus minus* 40 zlr. miesięcznie!... Ale co to ma do tego? Służba, jak wszystko zresztą w dzisiejszych czasach, jest towarem, którego cena zależy jak zwykle, od stosunku podaży do popytu. Ponieważ podczas wystawy popyt na służbę niesłychanie się wzmoże, więc trzeba będzie pokojówkom płacić po 80 złr, albo i więcej miesięcznie, gdyż tyle zapłacą im każdej chwili, jako kelnerom, mnogie zakłady jadło- i picio-dajne które wystawa do życia powoła. Nic naturalniejszego i nic... chcieliśmy napisać i nic słuszniejszego; ale nie jesteśmy ekonomistą politycznym i wszelki wyzysk a zdzierstwo tak nam jakoś do serca nie przypadają, że im pod żadną postacią przyklasnąć nie jesteśmy w stanie. Co tu jednak pomoże wstręt jakiegoś tam zacofańca? Rzeczy pójdą swoją drogą i panie chicagowskie będą musiały płacić swoim kamerierom, ile one tylko zechcą...

Córka Socjalisty.

Powieść z angielskiego.

(Ciąg dalszy — patrz numer 20).

Szukał jej i znalazł piękną, taką, jak wtedy, gdy po raz ostatni spojrzała nań zaiskrzonemi dumą i gniewem oczyma. Ukłoniła mu się poważnie, zbladła, widocznie spostrzegłszy go, bo była biała jak chustka, ale broniła się od zasłabnięcia ze zdumiewającą siłą woli i chciała pójść, on przecież ją zatrzymał.

— Stello! — rzekł wyciągając rękę.

— Lordzie Lashmar! — odparła pytającym tonem, nie przyjmując podanej dłoni — czego pan możesz sobie życzyć odemnie?

— Stello, czy mi przebaczysz? Szukałem cię, szukałem cię w trwodze, w żalu, w boleści najwyższej. Niczego tak na świecie nie pragnąłem, jak twego przebaczenia. Czy przebaczysz mi? Czy nie podasz mi ręki, Stello! przy grobie twego ojca.

Nie mogła się oprzeć takiemu zaklęciu. Podała mu rękę, nie mówiąc słowa. Po raz pierwszy ręce ich spotkały się w ten sposób. On przyciągnął ją ku sobie, a ona opierała mu się trochę, patrząc na niego wpół zdziwionym, wpół zagniewanym wzrokiem.

— Stello! to jedno tylko mam na usprawiedliwienie mego ostatniego brutalstwa i zarazem mojej obojętności na twój los, mego okrucieństwa przez całe te długie lata. Moje postępowanie owego wieczoru niech ci to tłómaczy, że oszalałem z zazdrości, a wszystko, co było przedtem, to walka miłości i kastowych uprzedzeń. Starałem się nie kochać cię, a kocham cię namiętniej. Nie mogłem nigdy przypuścić, że zdolny będę kochać tak kobietę, choćby księżniczkę z krwi królewskiej. Cała moja duma rodowa, cała myśl o majątkowych stosunkach mej przeszłej rodziny pierzchła z wiatrem! Kocham cię Stello i tylko dla twojej miłości żyć pragnę. Czy mi przebaczasz, czyś mi przebaczyła?

Stella zbladła straszliwie. Uczucie niewypowiedzianego szczęścia opromieniało ją całkowicie. Powieki jej przymknęły się, w uszach szumiało, przed zamkniętemi oczyma przelatywały błyskawice. Głowa jej skłoniła się bezsilnie na ramię Wiktora, który zaledwie zdążył ją pochwycić, aby nie padła.

— Najdroższa, ukochana! powiedz, żeś mi przebaczyła. Powiedz, że mogę mieć nadzieję!

Blade jej usta usiłowały odpowiedzieć, ale zbyt silne ich drżenie udaremniło wysiłek. Nastało długa, długa cisza, wreszcie powieki otwarły się zwolna, jakby z wysiłkiem i wielkie ciemne oczy spojrzały miłośnie w piękną twarz pochylonego nad niemi młodzieńca.

— Nienawidziłam się za... za słabość mego serca. Pogardzałam sobą, że mogę kochać człowieka, który mnie lekceważy.

— Więc oboje jesteśmy zwyciężeni — rzekł, podnosząc do ust jej rękę. — Walczyliśmy oboje, ale przeznaczenie silniejszem się od nas okazało. O! ukochana! ukochana! jakiż ja szczęśliwy! Nie ma na świecie szczęśliwszego człowieka — nie ma człowieka szczęśliwego równie. A teraz wracajmy do domu — do tego nienawistnego ci dotąd zamku Lashmar i czytaj matce mojej, która tęskni za tobą, ale bądź dla niej córką! Ona także usiłowała zamknąć przed tobą serce swoje, ale jam się domyślił już dawno, że cię kocha. Powiedziałem jej wszystko, najdroższa, powiedziałem jej, że musisz być moją żoną, jeżeli cię pozyskać zdołam.

— Czyż może nie gniewać się na taki wybór? — szepnęła Stella.

— Nie, przyjęła moje postanowienie spokojnie. Wszak wiesz, że matka moja jest przedewszystkiem kobietę rozumną, a ludzie rozumni poddają się zwykle spokojnie nieuniknionej konieczności. Pójdź najdroższa, mój powóz czeka w hotelu. Przybędziemy do zamku na herbatę. Matka moja przytuli cię do serca, jak córkę. Z chwilą, gdy cię utraciła, poznała całą twoją wartość.

Stella wytłómaczyła mu, że nie będzie mogła opuścić miasta tak nagle. Znalazła tu poczciwych przyjaciół i schronienie i musi się z tymi zacnymi ludźmi pożegnać. Kobiecy instynkt powiedział jej, że nie powinna wracać do zamku powozem lorda Lashmar. Jeżeli ma się to stać — to musi być inaczej...

— Jeżeli milady Lashmar życzy sobie istotnie, abym wróciła, niech mnie wezwie sama, niech wiem, że nie cofnie mi swej woli dobrej.

Opuścili cmentarz i poszli rezem przez ulice miasta, razem i spokojnie, jak gdyby tak iść obok siebie było dla nich rzeczą zwyczajną. Przeszłość zapadła gdzieś z tem wszystkiem, co było cierpieniem i rozdziałem — panowała tylko miłość, a z nią szczęście.

Sklepik Chapmanów był niezbyt daleko od cmentarza i Stella powiedziała narzeczonemu, że odkąd była w Brumm, chodziła codziennie na grób ojca.

— Jedyna to już rzecz, jaką dla niego zrobić mogę — rzekła smutnie.

— I to moje okrucieństwo dała ci wiadomość o śmierci jego!

— Lepiej, żem się dowiedziała prawdy — odparła łagodnie. — Karmiłam się dziecinnemi marzeniami. Powinnam była wiedzieć, że gdyby był żył, byłby niewątpliwie zgłosił się po mnie. A teraz tem bardziej czczę go i kocham, że życie za mnie poświęcił.

Wkrótce stanęli przed sklepikiem Chapmana.

— Wejścia osobnego nie ma — rzekła Stella — czy zechcesz, milordzie, wejść przez sklep?

— Z rozkoszą — zawołał Lashmar wesoło. — Dobrze mi, miło mi iść wszędzie, gdzie idę za tobą.

Musiał się nieco przychylić, aby nie potrącić głową o zwieszające się z sufitu szynki, wieńce cebuli i pęki czosnku.

Stella przeprowadziła go do tak zwanego saloniku, tej świątyni, tak rzadko odwiedzanej w ciągu dnia, zwłaszcza powszedniego; rodzina Chapmanów piła herbatę w kuchni.

Stella poszła tam i powiedziała im, że lord Lashmar przyszedł podziękować im za gościnność jej udzieloną. Musi wracać do zamku Lashmar, bo milady żąda jej koniecznie, a... jest słabą...

— Będę musiała pożegnać was dziś, lub jutro, dobrzy, łaskawi przyjaciele moi i opiekuni — rzekła wzruszona — ale nigdy o waszej dobroci dla mnie nie zapomnę. Będę was odwiedzać, jeżeli pozwolicie.

— A jakże! a jakże gołąbko! Zawsze nam będzie miło widzieć twój słodki buziaczek — rzekł Chapman, podnosząc swą poczciwą twarz z nad olbrzymiej filiżanki herbaty.

— Lord Lashmar tutaj — wykrzyknęła nagle Polly przerażona. — Dostrzegła go w progu stojącego i o mało co nie zemdlała.

— Czy mogę wejść, pani Chapman? — spytał lord Lashmar, ukazując się we drzwiach.

— Ach! milordzie tyle zaszczytu! — rzekła dygając matka Chapman, a mąż jej postąpił na przeciw gościa.

Lashmar uścisnął rękę Chapmana tak uprzejmie, jak gdyby zbierał głosy na wybory i podziękował całej rodzinie najserdeczniej za okazaną pannie Bolwood serdeczność.

— Wkrótce zmieni ona nazwisko — rzekł z wesołym na ustach uśmiechem — ale będąc lady Lashmar, przyjdzie tu nieraz i ja z nią, jeżeli państwo pozwolicie.

— O! milordzie, zbyt wiele zaszczytu — rzekł Chapman. — Ale spodziewam się, że wasza lordowska mość zawsze pamiętać będzie, że to, cośmy mogli zrobić, tośmy zrobili dla corki Jonatana Bolwooda, nie dla przyszłej lady Lashmar.

— A córka Jonatana Bolwooda nie stanie się niewdzięczną dla tego, że zmieni nazwisko — odparł Lashmar.

Musiał rozstać się ze Stellą. Zostawił ją pod opieką uczciwych jej przyjaciół i wesoło rzekł też wszystkim:

— Do widzenia...

ROZDZIAŁ XXII.

Stella, stosując się do życzenia narzeczonego, pozbierała swoje ukochane książki, upakowała podróżny worek, który jej tak w ucieczce z zamku ciężył i czekała na list od lady Lashmar i powóz, jaki miał być po nią przysłany.

Czy też milady zdobędzie się na napisanie jakiego tkliwszego słowa? — myślała — czy zdobędzie się na to ta dumna, surowa pani, która traktowała ją zawsze jak niewolnicę, przyjmowała jej posługę jak obowiązek, pozwalała jej czuwać przy sobie po całych nocach bez słowa podzięki, bez najmniejszej oznaki wdzięczności? Czy potrafi tak złamać w sobie pychę, aby sierocie, z której uczyniła niewolnicę, napisać: — wracaj i bądź moją córką...

— O! Boże! — modliła się biedna dziewczyna, ukląkłszy przy łóżeczku w swej maleńkiej izdebce na górnym piętrze. — O Boże! oszczędź mi upokorzeń i nie wódź na pokuszenie! Mamże zasiać niezgodę między matką, a jedynym synem, mamże ich na zawsze może rozdzielić? Czyli raczej nie powinnam się wyrzec mej miłości? Ale Boże! ty wiesz, że ja go tak kocham, tak kocham!

Siedziała i czekała zadumana, aż z zapadającym zmrokiem wieczoru zaczęła nadsłuchiwać turkotu powozu na ulicy. Ciemność już zapadła, ale nie zapaliła światła.

Godziny płynęły za godzinami, a wciąż było cicho w około niej. Tak! dumna magnatka nie chciała napisać ani jednego słówka i biedny Lashmar nie wie, co począć dalej, skoro dumna jego matka nie chce przyjąć napowrót swej zbiegłej sługi...

Ale cóż to? słychać turkot kół i tupot końskich kopyt po bruku. Stella pobiegła do frontowego pokoju i wyjrzała przez okno. Blask powozowych latarni oświecał całą ulicę i padł na nią, gdy stanęła przy oknie.

Czy zwrok ją zawodzi, bo wszakże to był własny powóz mylady, jej własne konie, wspaniałe kasztanowate rumaki, które w tej ciasnej, nędznej uliczce, wyglądały jak dwa słonie.

I to po nią przysłano ten powóz!

(Dokończenie nastąpi).

Do motylka.

Miłe stworzenie, owadku bożr
W stubarwnej tęczy obłoku —
Bujasz w powietrzu leciuchny, hoży,
Pełen świetnego uroku.
Wijesz się, krążysz w falach błękitu,
To znów przypadasz do ziemi —
Nurzasz się pośród traw aksamitu,
Świecące skrzydłami jasnemi.
Szczęsnyś motylku! Na krasnem łonie
Stulistnej róży usiędziesz,
Lilja ku tobie zapachem wionie
I miłość lilji zdobędziesz!
Cały dzień zmienny, lekki, niestały,
Przelatasz z kwiatów na kwiaty —
Gdy cię sierpniowe znużą upały,
Kryjesz się w wonne róż szaty.
Tam osłoniony od słońca skwaru
Porzucasz wszelkich trosk brzemię —
Spijasz kroplami słodycz nektaru,
Ukryty w kwiatów haremie!
A tu, nad ziemią toczą się może
Chmur poszarpane całuny...
Wicher zniszczeniu uściela łoże,
Biją ogniste pioruny.
Ty czekasz chwili jasnej pogody —
Głąb nieba staje się bledsza...
I znów ulatasz, dziecię swobody!
W błękitną ciszę powietrza.
Bujasz dzień cały, póki o zmroku
Nocy nie spadnie zasłona —
Wtedy się pojąc cudem uroku,
Rzucasz się lilji w ramiona.
Kołysze lilja, usypia wonią,
W swych czarów pięcze cię mocy —
Kwiaty do koła zapachy ronią
Dzwoni srebrzysto pieśń nocy.
Dzwoni pieśń nocy srebrzysto — cicha —
Sypie się świateł kaskada..
To drzewa szumią, to wiatr gdzieś wzdycha,
To blask księżyca tam pada.
Sen... cisza... spokój! W lilji kielichu
Słodkie cię tulą marzenia —
Szmery ziół wonnych szepczą po cichu,
Że świt już ziemię spromienia.
Budzisz się lekki, trzepoczesz w skrzydła,
Nie ma radości twej końca —
Znowu cię nęcą barw malowidła,
Znowu się wznosisz do słońca.
Szczęsnyś motylku! zazdrościć tobie
Zdaje się ludziom potrzeba —
Lecz kiedy uśniesz w malutkim grobie
Co pozostawisz dla nieba?
Ani dla nieba, ani dla ludzi,
Nic po twym nie ma przygonie —
Blaskiem barw nikłych życie twe łudzi,
Ożywnem tchnieniem nie wionie!
Bo, kto przecierpiał, kto zasług wianek
Ludzkości w darze poświęci —
Ten tylko nieba, ziemi kochanek,
W wiecznej żyć będzie pamięci!

Kazimierz Gliński.

Róże.

Jesteśmy w pełni sezonu róż, godzi się więc poświęcić słów kilka królowej kwiatów. Nie ma chyba ogrodu, w którymby najrozmaitsze odmiany róż swem kwieciem nie dodawały świetności klombom i trawnikom.

Piękność róży zwycięża niezwykłe formy storczyka, barwa jej zaćmiewa delikatne kolory gloksynii, zapach przewyższa wykwintną woń gardenii, a przed jej wdziękiem i czarem niknie drżąca mimoza.

Świat modny uważa różę za kwiat zbyt pospolity, bo widuje ją wszędzie, chociaż to właśnie, że każdy ją mieć może, stanowi jeden powód więcej, żeby ją cenić. Zdanie bezmyślnej mody, zarzucającej róży brak wykwintności dlatego jedynie, że nie jest rzadka, ostać się nie mogło. Dziś widać ją wszędzie przez całe lato, w miastach i po wsiach, w mieszkaniach ubogich i bogatych. Jej piękność, niby promyk idealnego świata, sprawia nam niewinną radość, uspokaja i koi. Zrozumiano to dobrze w Anglii. Tam róże rwane w parkach książęcych lśnią w chatach nędzarzy, przy łożach szpitalnych, w przytułkach starców i dzieci.

Codzień prawie przybywa nam nowa odmiana róż, jedna piękniejsza od drugiej. Za pomocą łączenia i szczepienia, ogrodnicy otrzymują kwiaty najrozmaitszej formy i koloru. Mimo to. róże pochodzące ze sztucznej hodowli przypominają zawsze pierwowzór — ową małą różę polną, zwaną we Francji: *la rose de chien*, której skromny pączek posiada listki niezwykłej miękkości i łagodnej barwy. Róże hodowane znamy pod najrozmaitszemi nazwami: *„Jeanne d'Arc“*, *„Reine des iles Bourbons“*, *„Reine Blanche“*, *„Géants des Batailles“*, *„Capitaines“*, *„Généreaux“*, *„Pactoles“* i wiele innych, pomiędzy któremi, jak to okazuje się z pobieżnego wyliczenia, nie brak niestosownych, a nawet śmiesznych.

Różę koloru bursztynu nazwano *„Sofrano“*, prześliczną jasno-żółtą — *„Marechal Niel“*, pewna odmiana róży herbacianej nosi nie wiadomo dlaczego nazwę *„Adam“*. Prześliczne róże bengalskie nazwano w katalogach: *„Lucullus“*, *„Pepin“* i *„Zwyczajne“*. Jedynie róży z Portlandu dano poetyczną nazwę *„La mienne“*.

Jak oranżerje i cieplarnie, poświęcone hodowli wyłącznie jednego gatunku kwiatów egzotycznych, tak zdarza się widzieć ogrody, w których hodują tylko róże. Ogród taki w porze letniej przedstawia uroczy widok. Kwiaty najrozmaitszych kolorów i wielkości wspinają się po murach i drzewach. tworzą aleje, bukiety, ścielą się na ziemi, tworząc jedyną w swoim rodzaju całość.

Ogród pełen róż zda'a już wita przechodnia słodkiemi woniami, które roztacza wokoło. Do tej pory żaden z najsławniejszych fabrykantów nie wyprodukował perfum, któremi możnaby zastąpić zapach schnących listków róży, udzielający rękawiczkom, koronkom i bieliźnie. Szczególniej róże białe posiadają zapach nader trwały. Ich świeże listki, rzucone do szafy, lub walizy, pozostawiają po sobie na bardzo długo subtelne wonie, których żaden zakład perfumiarski nie był w stanie dotychczas naśladować.

Muchy.

Lekka, pusta i skrzydlata,
Gdy się wemknie Bóg wie po co..
Tam — gdzie łańcuch, klucz i krata
Skazanego, dniem i nocą
Od całego dzielą świata,
Rozwesela mu sierocą —
Swem bzykaniem — straszną dolę!
Choć częstokroć żądłem kole.

Próżny, warjat... acz bez bzika...
Przez ciekawość, gdy się wnęci
W cichy kącik samotnika,
Co od ludzi, że nie święci..
Na sto kluczów się zamyka —
Gość ten papląc bez pamięci...
Tak jak mucha bawi właśnie,
Bo swem głupstwem zawsze draśnie.

Franciszek Lasocki.

Z Opowiadań Berka Guzika.

Berek Guzik mówił, że uczoność to jest największy majątek, że jest skarb, w porównaniu z którym najwspanialsza fortuna znaczy tyle, co nic.

— Niech pan dobrodziej sam uważy, niech weźmie na delikatny rozum! Znasz pan zapewne naszych bogaczów? Kto ich nie zna? To są wielkie osoby, wielcy ludzie! Oto naprzykład, taki Dawid Jożne — ma dom — i gdzie on ma dom? w samym rynku! Ma karczmę—i gdzie ma karczmę? na samym rogu! Może pan miarkować, co to jest dom w rynku i karczma na rogu! To bogactwo! na moje sumienie bogactwo— ale to jeszcze nie koniec. On się ożenił bogato, sześćset reńskich ze żoną wziął, on szczęście miał bardzo! on jednę dużą sprawę wygrał, on się dorobił na zbożu, dorobił się na drzewie — on dziś jest pan! Proszę pójść do domu i zobaczyć jego bogactwo. On samowar ma, on lichtarze ma, on ma najzylbrowe łyżki — a jego żona nosi kolczyki z brylantami, aż oczy bolą patrzeć! I co mu z tego wszystkiego?

— Jakto co? bogaty jest.

— To prawda. On pierwszy bogacz na całą okolicę. Jedź pan daleko — nie znajdziesz takiego bogacza, — ale. niechno pan zajrzy jemu w głowę! Ha! ha! co tam jest w jego głowie! całkiem nic. Jedno z drugiem nic!

— Musi jednak coś być, kiedy się dorobił i przyszedł do majątku.

Berek się rozśmiał.

— Nie, panie, ja widzę, że pan dobrodziej nie zna się na takich interesach...

— Być może.

— Przepraszam, bez urazy godnej osoby — ja panu wytłumaczę. Do interesu głowa wcale nie potrzebna jest.

— Więc cóż?

— Szczęście! Kto ma szczęście, temu każdy interes pójdzie jak najlepiej — a kto nie ma szczęścia, temu i dziesięć głów nie



— Dziwna rzecz — wszystkie wróble gdzieś ztąd pouciekały...
— Mnie się zdaje, że to pański nos je wypłoszył...



— Chodźmy w inną stronę...
— A to dlaczego? Co cię tak przestraszyło?
— Tam pod drzewami siedzi moja narzeczona z matką, a ja nie mam ani centa w kieszeni i nie mogę nawet za krzesełko zapłacić...

pomoże, Takie było prawo od samego początku świata, takie teraz jest i takie będzie do samego końca.

— W takim razie niechże mi Berek wytłómaczy, do czego służy głowa?

— Ha! ha! głowa! Głowa służy do uczoności. Głowa to jest kufer, to jest tłomok, to jest cała szafarnia. A wiesz pan, dla czego głowa twarda jest? Dla tego, że w niej chowają się drogie rzeczy. Pomyśl pan: jeżeli człowiek ma pieniądze, funduje sobie tęgi kufer, albo żelazną skrzynię, więc na takie bogactwo, co w głowie może być, Pan Bóg dał także dobry, mocny kuferek.

— Wytłómaczże mi jednak, mój Berku, czem się to dzieje, że są na świecie ludzie całkiem głupi, a przecież każdy człowiek ma głowę?

— Prawda, prawda! Ale widzi pan, głowa a głowa, to jest dyferencja. Ja nie chcę mówić o wszystkich głowach, ale powiem o żydowskich. Jak się panu zdaje, czy żydek, taki zwyczajny żydek, mały bachirek, przychodzi na świat mądry, czy głupi?

— Cóż za pytanie!

— Ha! pan myśli, że głupi! Ha! ha! Nie — proszę pana, on wcale nie jest głupi, bo on przed urodzeniem nie próżnował, on darmo czasu nie tracił.

— A cóż u licha robił?

— Uczył się; przy nim był anioł i tłómaczył mu pismo — i tak go wyuczył wszystkiego, jak najlepszego rabina. Całą mądrość mu dał, pełną głowę mu nakładł.

— A dla czego posyłacie dzieci do szkoły?

— Bo tak trzeba, tak musi być. Ja panu wytłómaczę. Człowiek jest człowiek, ma szczęście i nieszczęście. Pan Bóg daje mu dobre rzeczy — djabeł (wiesz pan, taki paskudnik) chce te dobre rzeczy od człowieka odebrać, chce mu wydrzeć, chce go całkiem zniszczyć. W każdym interesie lubi brzydki figiel zrobić. On starym ludziom dokucza, a dzieci? Żeby mógł, toby wszystkie (nie w złą godzinę powiedziawszy), pozjadał. To cały gałgan jest i przez niego nasze dzieci muszą do szkoły chodzić.

— Przez niego?

— Właśnie tak. Widzisz pan i taki mały żydowski bachirek zanim przyjdzie na świat, to już jest mądry, uczony w piśmie, jak cały rabin. On Torę zna, on Gemorę zna, on całe pismo zna! — Ale co z tego?! Zaledwie na świat przyjdzie, djabeł czeka na niego i daje mu na pierwsze przywitanie, prztyczka w nos! Nie wierzysz pan?! To proszę zobaczyć, że każdy człowiek w tem miejscu, gdzie mu djabeł prztyczka dał, ma dołek.

— Ale cóż ztąd?

— Jakto co? Nie wiesz pan co? Takie dziecko to przecież delikatne jest, ono się boi. Jak zobaczy tego paskudnika, to krzyknie, a jak dostanie od niego prztyczek, to się zestraszy, tak przelęknie, że wszystko co tylko umiało, czego się od anioła nauczyło — od razu zapomni. W tem cała sztuka jest! Żeby nie on, żeby nie ten gałgan, to nie trzebaby dzieci uczyć—wszystkie od razu byłyby bardzo mądre. Pan się śmieje, pan nie wierzy, że to prawda jest. Ja wiem, państwo macie swoje zabobony. Mnie pan powiesz, że djabła nie ma? Oj! żebym ja nieszczęścia więcej nie widział — jak ja go sam widziałem na moje własne oczy! Nie wiadomo, zkąd wlazł do izby.

— A jak wyglądał?

— Niech on zginie! niech jego moje oczy nie widzą! On wyglądał całkiem jak czarny kot! Tfy! tfy! Nie śmiej się pan, bo, broń Boże, może się zrobić nieszczęście!

— Ja się też nie śmieję... Ale odeszliśmy od przedmiotu. Nie wytłómaczyłeś mi Berku, dla czego, chociaż każdy człowiek ma głowę, głupich ludzi nie brak na świecie.

— Nie brak? He! He! żebym ja w swoim majątku tyle groszy miał, ilu głupich ludzi się zdybie — to jabym się pytał, ile nasze miasto kosztuje.

— Więc?

— Nu, jabym był bardzo bogaty. Co się tyczy mądrych i głupich, ja panu zaraz wytłómaczę. Żeby na świecie byli sami mądrzy, toby nie było głupich — a żeby byli sami głupi, toby nie było...

— Mądrych.

— Nie, toby także nie było głupich, bo każdemu głupiemu zdawałoby się, że jest mądry. Weź pan na delikatny rozum, — każdy towar potrzebuje mieć swoją miarę. Ocet mierzy się kwartą, cukier ważą na funty — sukno, albo biały towar idzie na łokieć. No, — jaki pan łokieć znajdzie do mierzenia mądrości? Właśnie głupi człowiek, to jest taki łokieć! Jak pan postawisz mądrego przy głupim i każesz im, żeby obydwa gadali, to będzie miara. Przepraszam pana, niech no pan słucha jeszcze. Na świecie wszystko potrzebne jest — i różne głowy są potrzebne. Zwyczajnych trzeba dużo, wielkich nie wiele, bo wielka głowa ma pomyślenie za małe głowy. Ja panu nie powiadam o pruskich głowach, ani o żadnych zagranicznych głowach — ja mówię tylko o żydowskich. Państwo się śmieje, ale żydowskie głowy, to wszystko fajn gatunek głowy jest! Na moje sumienie! Tylko nie do każdej głowy może wleźć wielka mądrość, są niektóre trochę niezdatne...

— Ciasne?

Berek skrzywił się.

— Są i ciasne... ale od tego szkoła, żeby próbować. Zaraz z maleńkości widać już, czy głowa zdatna, czy nie zdatna. Jak która zdatna, to szczęście, to takie szczęście, że dziesięć majątków mu nie wyrówna.

— Przepraszam za niedyskretne pytanie — ale powiedz mi Berku, co ty myślisz o twojej własnej głowie?

Zawahał się żyd.

— Co ja myślę? — rzekł po chwili — co ja myślę? Co mam myśleć? ja nic nie myślę.

— Ale przecież.

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć... ja jestem z mojej głowy kontent (niech ona zdrowa będzie). Mnie ją Pan Bóg dał, a ja — dodał z dumą—nie żałowałem kosztu...

— Jak to?

— Ja pakowałem w tę głowę, co tylko wlazło i jeszcze w nią kładę. Ja ciągle czytam i jak tylko czas mam, to czytam, jak przyjdzie szabas, czytam, jak pójdę do szkoły, to także czytam, albo słucham, co mądre ludzie gadają.

— Może właśnie dla tego nie masz do interesu szczęścia!

— Prawdę pan powiedział, ja nie mam szczęścia! Nie jestem bogaty, trochę nawet biedny jestem, a nawet cały kapcan jestem, ale za to mam swój honor. Mnie ludzie znają.

— Być może, ale robota nietęgo ci idzie.

— Co ja mam na to poradzić? Komu teraz idzie robota? kto ma kawałek chleba? Temu lat dziesięć, może piętnaście.. tak! piętnaście lat temu, to ja powiedziałem, że nasze miasto całkiem zbiednieje, że wszystkie nasze żydy będą mieć gorzkie życie... Kto nie wiedział co w mojej głowie jest, ten się śmiał i nie chciał wiary dać, — ale byli tacy, co wierzyli i niech się pan spyta, czy się wszystko nie sprawdziło? Całkiem się sprawdziło... a kto powiedział, że tak będzie? ja powiedziałem, bo dziękować Bogu, głowę mam! Teraz wszyscy wiedzą, że nam miasto upadło, że zarobku nie ma, że handlu nie ma! Teraz wierzą, ale kto piętnaście lat temu wiedział? Jeden Berek!

— Zkądże mogłeś wiedzieć, co się stanie w przyszłości?

— Zkąd? — Były takie znaki. Chce pan posłuchać, to powiem... Temu będzie piętnaście lat, akurat w nasze święta jesienne, ja sobie szedłem do szkoły. Ja się tam trochę zasiedziałem i już było późno, jakem wracał. Było późno, ale nie było ciemno; owszem widno było, bo miesiąc świecił. Ja sobie trochę śpiewałem. Dla czego ja nie miałem śpiewać? przecie święto? Tymczasem koło mnie coś przeleciało! Ja się zląkłem. Ktoby się nie zląkł w nocy? miasto całkiem puste, na ulicy nikt nie idzie. Ja się zląkłem! Obejrzałem się, nie ma nic. Spojrzałem do góry... aj waj! myślałem, że już mój koniec przyszedł. Znasz pan dom Gdali furmana?

— Znam.

— No to ja zobaczyłem (niech moje wrogi to zobaczą!), ja zobaczyłem, że on siedzi na Gdali domu, na dachu!

— Co za on?

— Nu — on! Nie potrzebuję dużo powiedzieć: czarny kot. Cały czarny, a oczy tak się jemu paliły, jak świeczki. Ja chciałem krzyknąć gwałtu — ale nie mogłem. Mój język zrobił się jak drewniany kołek, moje gardło było ściśnięte, moje zęby tłukły się jako grosze w puszce. Ja nie miałem siły stać — ja siadłem; ja nie miałem siły siedzieć, — ja przewróciłem się całkiem — ja leżałem...

— A kot?

— On sobie poszedł! Gdzie on poszedł? — to ja nie chcę wiedzieć! Po co ja mam wiedzieć, gdzie taki paskudnik chodzi? Ja zobaczyłem, że jego już nie ma i wstałem. Na drugi dzień poszedłem między naszą starszyznę i powiedziałem, że będzie nieszczęście. Radziłem, żeby zobaczyć, czy się gdzie przykazanie nie popsuło (wiesz pan, takie przykazanie w blaszanej rurce, co musi być na każdej futrzynie przybite); radziłem, żeby pilnować, czy która żydówka nie przyrobiła sobie fałszywych włosów? Myślisz pan, że między naszemi żydówkami nie znajdą się takie gałganice? Radziłem, żeby uważać, czy Gdala furman robi wszystko,

Nieszczęście idzie w parze...



— Pani dobrodziejko! W dzień mego ślubu okradli mnie...

— Proszę pana, nieszczęście zawsze idzie w parze...

co w piśmie nakazują? Bo dla czego kot nie siedział na innym dachu, tylko na jego dachu? Prosiłem, mówiłem, że będzie nieszczęście, że całe miasto zginie. Nie słuchali. Powiedzieli: co Berek znaczy! Berek nic nie wie!

— No?

— Nu — i tak się stało. Pokazał się drugi smok.

— Znowuż kot!

— Nie... dla czego kot? Kto jemu zabrania zrobić się kozłem?! O, nieszczęście moje! To także był wieczór, nawet późno już było, całkiem późno. Miesiąc także świecił, wolałbym, żeby nie świecił, bo możebym nie był widział tego, co ja widziałem. Ja szedłem od burmistrza. Zawołał mnie jak zwyczajnie, kazał sobie zrobić kamizelkę. Wziąłem miarę, pogadałem z burmistrzem i wracam. Musiałem wracać do domu. Tymczasem znowu koło Gdali domu zobaczyłem! Niech on zginie! Stał z rogami, z brodą i całkiem czarny, jak smoła...

— A kto stał?

— Pan się pyta! Wiadomo, kto stał. Czarny kozioł!

— Wielka rzecz!

— Właśnie, że wielka rzecz. W całem mieście był tylko jeden kozioł, a to całkiem biały, więc skąd się czarny wziął? Nie, proszę pana, to nie był zwyczajny kozioł — ale był znak, że w mieście nieszczęście ciężkie.

— Znak?

— Pewnie, że znak. Ja znów zrobiłem gwałtu. Znów chodziłem do naszej starszyzny. Ale co ta nasza starszyzna warta! Oni tak dbają o miasto, jak i o ten piasek, co na gościńcu leży. Aby sami mieli pieniądze, to dla nich dość. Ja mówiłem, prosiłem, płakałem nawet.

— A oni?

— Oni śmiali się! Oni powiedzieli, co ten kozioł, to był kozioł, że spał w takiem miejscu, na które sadze wysypują i przez to zrobił się czarny. Ja wiedziałem, że to nie prawda, ale co miałem robić? Czekałem trzeciego znaku.

— I był?

— A jakże. Nie wyszło dwa miesiące i już był.

— Jakiż?

— Był całkiem pfe! Ja panu nie powiem o tem dużo i nie powiem mało, powiem jedno słowo: Gdala furmana córka uciekła!

— To znak?

— To był bardzo brzydki znak, ta dziewczyna zaręczona już była. Pfe! a z kim ona uciekła? Ze stolarza Dzięciołkowskiego synem... z katolikiem i ożeniła się z nim. Pfe! zrobił się wtedy gwałt. Starszyzna się zawstydziła, a ja mówiłem: a co? Oni powiedzieli: nieszczęście! — Ja powiedziałem nie, to jest tylko pfe! ale nie nieszczęście, to znak, to trzeci znak! Bo proszę pana, przed każdem nieszczęściem, to jak na licytaji, do trzech razy jest krzyk, a po trzecim razie przybicie. Proszę pana, nie wyszło od tego znowu dwa miesiące — i zaraz się zaczęło...

— Co się zaczęło?

— Nieszczęście! Przyjechali geometry, inżyniery, zaczęli mierzyć... krótko mówiąc, za dwa lata już była kolej żelazna.

— Alboż to nieszczęście?

Berek uśmiechnął się iromicznie.

— Proszę pana, — to właśnie jest cała zguba, od tego miasto upadło, a my wszyscy zkapcanieli. Teraz weź pan na delikatny rozum. Ja nie chcę sądzić Gdali furmana, ale mnie się zdaje, że on musiał dużo grzeszyć. Na jego domu pokazał się czarny kot, koło jego domu stał czarny kozioł, z jego domu uciekła dziewczyna — i pyta pan, kto najpierwszy zkapcaniał? Kogo najpierw kolej zgubiła? — Gdalę furmana! Kogo zaraz za nim zgubiła? — drugich furmanów. Ja się tego spodziewałem; bo proszę pana, furmany, to grube ludzie są; oni ciągle w drodze — a gdzie najłatwiej można zgrzeszyć? — w drodze! Zkapcanieli furmany, zkapcanieli kupcy, krawcy i inni... wszyscy zkapcanieli. Jeden tylko Dawid Jożne bogacz jest, ale co mu tego? Źle jest na świecie, bardzo źle jest przez to, że ludzie dużo niedobrych rzeczy robią.. a czarny kot ciągle pilnuje, żeby nie zrobić zgubę.

To rzekłszy Berek, zwiesił głowę i zamyślił się.

Klemens Junosza.

Teatr — koncerta — widowiska.

Młody artysta, p. Chądzyński, który już raz występował na naszej scenie, przedstawił się znowu lwowskiej publiczności w dramacie Jasieńczyka *Lena*. Artysta robi bardzo sympatyczne wrażenie, posiada ujmującą powierzchowność, głos dźwięczny i szczery zapał dla sztuki, a gdy pozbędzie się niektórych usterek i nabierze więcej rutyny, jesteśmy przekonani, że będzie z niego prawdziwy artysta, czego mu jaknajserdeczniej życzymy.

W dniu 5. b. m. przedstawioną została po raz pierwszy na scenie teatru letniego, trzyaktowa krotochwila Henryka Moulin i Edmunda Delavigne, z francuskiego tłomaczona p. t. *Człowiek o stu głowach*. Sztuka ta, nie posiadająca głębszej wartości literackiej a oparta na nieprawdopodobnych zawikłaniach, nie pozbawiona jest komicznych sytuacyj, z których widz mimowoli śmiać się musi, choćby był najpesymistyczniej usposobiony. Z tego rodzaju utworów nikt się niczego nie nauczy, ale ubawić się na nich może, choć jest to potrawa bardzo słono i pieprznie podana... W sztuce brały udział panie: German, Pankiewicz, Praunówna, Urbanowicz, Sznage i Chmielińska, oraz panowie: Hierowski, Walewski, Trapszo i Stróżewski. Artyści w grze swojej wyzyskali wszystko, co było do wyzyskania. Tłomaczenie p. Sachorowskiego dobre i poprawne.

Przygodny.

Różne sprawy publiczne i prywatne.

Do przedsiębiorstw najtrudniej rozwijających się w naszym kraju, należą niezawodnie zakłady litograficzne, gdyż ulegają często konkurencji zagranicznych firm, które wysełają swoich ajentów już z gotowymi drukami, etykietami i wpychają takowe kupcom, od innych zaś przedsiębiorstw biorą zamówienia większe i tym sposobem paraliżują rózwój krajowych litografij; jeżeli który zakład litograficzny założy się jak na początek o jednej, lub dwóch prasach ręcznych i po paru miesiącach istnieć nie przestanie, to jedynie zawdzięcza swój żywot kartom wizytowym i drobnym drukom autograficznym, gdyż takich zagranica nie może wyzyskać. Do najmłodszych zakładów litograficznych, należy tedy litografia pana Antoniego Plutera, założona przed rokiem we Lwowie przy ulicy Kopernika l. 17 i jak na przykre stosunki galicyjskie rzecz można, rozwija się bardzo pomyślnie; przyczynia się do tego fachowe uzdolnienie i na wstępie przyjście do przekonania, że bez maszyny pospiesznej zakład litograficzny nierozwinąłby się nigdy w obec kunkurencyj zagranicznych. W krótkim też czasie zaopatrzył pan Pluter zakład swój w maszynę pospieszną najnowszej konstrukcji, za pomocą której wykonywać można wszelkiego rodzaju prace, od zwykłych autografji począwszy, aż do najwytworniejszych artystycznych, w różnorodnych formatach i dowolnych nakładach. Oprócz tego, zakład litograficzny p. Plutera posiada uzdolnionych rytowników, a kilku artystów malarzy przyrzekło panu Pluterowi swój udział w sprawach artystycznych. Życząc jak najpomyślniejszego rozwoju zakładowi p. Plutera, zwracamy baczną uwagę P. T. Publiczności na zakład krajowy, który bezwarunkowo najwybredniejszym wymaganiom odpowiedzieć jest w możności.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Pan Latosiński w Cincinati (Ameryka). Dwa dolary otrzymaliśmy — prenumerata zapłacona do 1. lipca 1892 r. Lwów po francusku nazywa się *Leopol.*

Pan Ł. w Brodach. Kwestję tę poruszymy później.

Pannie Mici w Stan. Ma pani talent, ale trzeba pracować i uczyć się.

Autorom wierszy: „Biała róża", „Żadny chłopiec", „W pamiętniku" — utwory panów drukowane nie będą.

Nadesłane.

Restauracja Voisego we Lwowie na ulicy Boimów i rogu placu Marjackiego, jest obecnie pierwszorzędną restauracją, najbardziej uczęszczaną przez inteligentną publiczność w mieście. Urządzona w całem znaczeniu tego wyrazu elegancko, wygodnie i obszernie, posiada kuchnię wyborną, zdrową i wykwintną, a wszelkie napoje doskonałe.

Zakład ten wzorowo jest prowadzony, znajduje się na pierwszorzędnej stopie pod każdym względem tak, że licznie uczęszczający goście, wielkie zakładowi temu oddają pochwały.

Właścicielem i kierownikiem obecnie tej restauracji, jest znany z rzetelności **p. Jakób Voise**, który w latach poprzednich był również kierownikiem tej restauracji, poznał wymagania publiczności i stara się by znana ta restauracja zawsze zasługiwała na najlepsze uznanie. (5664—3—1.)

Zwraca się uwagę na skład i pracownię zegarmistrzowską **Bernarda Halperna**, lat 16. istniejącą we Lwowie przy ul. Hetmańskiej l. 10. Skład zaopatrzony w bogaty wybór zegarków ściennych i zegarków kieszonkowych wszelkich konstrukcyj, wykonanych bardzo sumiennie, zaś ceny możliwie najniższe. Reperacje wszelkiego rodzaju zegarów uskuteczniają się najdokładniej szybko i z poręczeniem na lat parę. (5661—2—1.)

Kilkakrotnie w tym roku wykazała lwowska komisja sanitarna nieumiejętne wyrabianie wody sodowej i jako szkodliwy dla zdrowia ludzkiego produkt, skonfiskowała takową kilku tutejszym fabrykantom, którzy nietylko, że szkodliwą wodę sodową wyrabiali, ale i do dzisiaj napełniają nią syfony brudne i zepsute. Przytoczywszy fakt podany za codziennemi pismami, zwracamy niniejszem baczną uwagę P. T. Publiczności na fabrykę wody sodowej **p. Alfreda Fabiana**, magistra farmacji, który po wieloletniej praktyce aptekarskiej, jako człowiek doświadczony, założył fabrykę wody sodowej we Lwowie przy **ul. Krasickich l. 10**, stosując się ściśle do wymagań hygienicznych przy fabrykacji takowej Fabryka p. A. Fabiana urządzona jest wzorowo, aparaty zaś służące do wyrobu wód gazowych zastosowane są do przepisów komisji sanitarnej; przeto należy żądać wszędzie wody sodowej z fabryki p. Fabiana, która jest **nie szkodliwa.** (5663—4—1.)

XXXI. Zamknięcie rachunkowe Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie za czas od 1. kwietnia 1891 do 31. marca 1892 roku.

(Dział ogniowy).

Przychód. Fundusz asekuracyjny ogniowy na rok 1891|1892. Rozchód.

Przychód.

		zł r.	ct.
W roku 31 wystawiono 299.700 ważnych polic, któremi ubezpieczono wartość	zł r. 496,082.653		
Zaliczka przeniesiona z roku 1890 netto	zł r. 1,107.798 81		
Prowizja agencyjna i kontrasekuracja	„ 310 952 63	796.846	18
Zaliczka zebrana w roku 31		3,308.995	96
Procenta od papierów wartościowych, od gotówek lokowanych w Bankach i Zakładach i procenta od weksli stron ubezpieczonych		126.557	25
Dochód z realności netto		8.186	55
Z ewaluacji monet		564	48
Fundusz asekuracyjny przeniesiony z roku 1890		6.000	·
Fundusz na szkody nieuregulowane przeniesiony z roku 1890		83.065	68
		4.330 216	10

Rozchód.

	zł r.	ct.
Premia kontrasekuracyjna	950 723	17
Szkody i koszta likwidacji wypłacone w r 31 po potrąceniu udziału Towarzystw kontrasekuracyjnych	1,229 142	45
Fundusz na szkody nieuregulowane po potrąceniu udziału Towarzystw kontrasekur.	139 959	61
Zaliczka na dalsze lata po potrąceniu prowizji agencyjnej i kontrasekuracji na dalsze lata	878 349	11
Koszta administracyjne	339.581	84
Subwencje dla straży ogniowych	5.916	·
Odpisy z wartości inwentarza	2.804	62
Prowizja agencyjna zł r. 379.517·26 po strąceniu prowizji otrzymanej od Towarzystw kontrasekuracyjnych zł r. 254.015 66	125.501	60
Podatki rządowe	14.312	23
Restauracja domu i odpis z wartości domów	4.475	50
Na cele humanitarne z fund. dyspozycyjnego Rady Nadzorczej	5.000	·
Odpis przepadłych zaległości	555	49
Fundusz na renumeracje	22 634	70
Czysta pozostałość	611.259	78
	4 330.216	10

Stan czynny. Rachunek bilansu z dniem 31. Marca 1892 r. Stan bierny.

Stan czynny.

	zł r.	ct.
Zapas gotówki w kasie z dniem 31. Marca 1892 r	155.135	89
W Bankach i zakładach na rachuku bieżącym	475 678	58
Weksle od stron ubezpieczonych	149.737	80
Zaległości u Agentów i Reprezentacyi	605.634	03
Na rachunku stron różnych	124.060	49
Towarzystwa asekuracyjne	258.099	64
Lokacje funduszu rezerwowego ogniowego.		
Wydział krajowy	367.411	79
Udział w Towarzystwie wzajemnego Kredytu	50.000	·
W towarzystwach zaliczkowych, spółkach rolniczych i tow. ochrony własności	200.472	90
Gminy i Członkowie Towarzystwa za dostarczone sikawki	17.720	32
Papiery wartościowe po kursie z dnia 31. marca 1892 z kup. bież.	1,378.773	06
Wartość realności w Krakowie ulica Basztowa l. 124 i we Lwowie	431.000	·
Wartość inwentarza	11.057	83
Papiery wartościowe funduszu emerytalnego po kursie z dnia 31. Marca 1892 z kup. bież.	209 598	62
Książeczka wkładkowa Towarzystwa wzajemnego kredytu (własność funduszu kalek Straży ogniowych)	2.579	17
Efekta funduszu Pawła Przedpełskiego	8 614	49
Efekta funduszu „Białego Krzyża“	6 006	52
	4.451 581	13

Stan bierny.

		zł r	ct.
Rezerwa zaliczki na dalsze lata mniej prow. agen. na dalsze lata i prem. kontrasekurac.		878.349	11
Rezerwa na szkody nieuregulowane netto		139.959	61
Fundusz na zwroty z lat poprzednich		132 758	97
Fundusz kalek straży ogniowych		2.579	17
Fundusz na należytości skarbowe		11.096	25
Fundusz emerytalny		214.554	97
Fundusz dla straży ogniowych		4.874	62
Fundusz na różnicę kursu papierów wartościowych		68.639	85
Fundusz na remuneracje		22.661	31
Fundusz Pawła Przedpełskiego		8.614	49
Fundusz „Białego Krzyża“		6.006	52
Fundusz rezerwowy ogniowy.			
Stan z dniem 1. Kwietnia 1891 roku	zł r. 2,263.692·10		
Przybyło w roku 31 z 10% od zaliczek, z zysku na wylosowanych papierach wartościowych i niepodniesionego zwrotu	zł r. 86.534·38	2,350.226	48
Saldo: 24% zwrotu dla członków	zł r. 600.703·73		
Saldo: do funduszu emerytalnego	„ 3 556·05		
Saldo: przeniesienie na rok 32-gi	„ 7 000·—	611.259	78
		4.451.581	13

Przychód. Fundusz asekuracyjny gradowy na rok 1891. Rozchód.

Przychód.

	zł r.	ct.
W roku 1891 wystawiono 9.828 ważnych polic, któremi ubezpieczono wartość zł r. 25.001.813		
Zebrano zaliczki	515.973	30
Procenta od gotówki i weksli	2.698	49
Zysk z ewaluacji rubli	460	87
Z odpisanych zaległości odzyskano	27	99
Niedobór za rok 1891	191.343	76
	710.504	41

Rozchód.

		zł r	ct.
Premia kontrasekuracyjne		268 719	61
Wynagrodzenia za szkody i koszta likwidacji	zł r. 842.187 25		
Zwrot od Towarzystw kontrasekuracyjnych	„ 453 006·20	389 181	05
Prowizja agencyjna	zł r. 33.537 35		
Koszta administracji	„ 41 220·38		
	zł r. 74 756·73		
Prowizja kontrasekuracyjna	„ 22.153·98	52.603	75
		710 504	41

Stan czynny. Rachunek bilansu z dniem 31. marca 1892. 9tan bierny.

Stan czynny.

		zł r.	ct.
Zaległość u Agentów		22.194	02
Pocztowa Kasa Oszczędności i na rachunku bieżącym w Bankach		25.255	43
Weksle od stron ubezpieczonych		24.405	
4½% Listy zast. Tow. kred. Nom. 251 600 po			87
zł r 99,50		250.342	·
Kupony bieżące			
5% Listy zast Banku hip. prem. Nom. 22.000 po		2.830	50
zł r. 107,50		23 650	·
Kupony bieżące		91	64
Niedobór za rok 1890	zł r. 153 354·36		
Niedobór za rok 1891	„ 191.343·76	344.698	12
		693 467	58

Stan bierny.

		zł r.	ct.
Fundusz na zwroty z roku 1889		946	10
Towarzystwo ogniowe		60.839	65
Fundusz na należytości skarbowe		340	·
Różnica kursu papierów		3.612	75
Różni wierzyciele		641	37
Fundusz rezerwowy gradowy.			
Stan z dniem 1. kwietnia 1891	zł r. 579.155 72		
Przybyło w roku 1891	„ 47.931·99	627.087	71
		694.467	58

Kraków, dnia 31. marca 1892.

Dyrekcja:

Zenon Słonecki. *Maksymilian Łępkowski.* *Henryk Kieszkowski.*

Komisja kontrolująca:

Fr. Jasiński. *W. Gnoiński.* *St. Komornicki.* *Wł. Gniewosz.* *Ig. Głażewski,* *Dr. Wł. Kraiński.*

Naczelnik rachunkowości: *Jan Geisler.*

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn.
Illustracje odbite w litografii A. Plutera we Lwowie, ulica Kopernika l. 17
Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.